

BSZCZ

PISMO TYGODNIOWE.

Nr 30.

Rok 1922. WARSZAWA, 22 Lipca

Rok LV

J. K. ILLAKOWICZ.

LEGENDA O DZWONIĄCYM KOŚCIELE.

1. Ozywa się czarny kościół kryty czerwoną cegłą,
a od kopuły jest zielony, zielony...
Z głębi ziemi żyjącej tyle krwi mu do serca nabiegło,
że przed świtem musi tętnić, musi bić, musi walić we dzwony!
Jeszcze koguty nie piałły,
jeszcze studnie nie skrzypiały,
jeszcze wróble napuszone na drogę nie pospadały,
jeszcze każdy nietoperz w powietrzu się krzyżuje z nietoperzem,
jeszcze rycerz na grobowcu nie zastygł na dzień pod pancerzem,
jeszcze złodziej nie poszedł spać po nocy złej zasmucony,
— a już kościół dygoce,
już się szamoce, łomoce,
już nabiegł krwią i musi tętnić, musi bić, musi walić we dzwony.

2. Obudził się siwy ksiądz, nakłada stufę,
nie może znaleźć okularów, co upadły na bibułę,
trzęsą mu się ręce jak dwa ptaki zaspane,
stukną do wikarego, co z nim sypia o ścianę:
.... A wstawaj że, księżo Wikary,
bo słyszę, że dzwonią u Fary;
a wstawaj że, wstawaj, synu, wszakżeś nie głuchy!
Co to tak dzwonić może
o nie słychanej porze?!
Czy powarjowali dzwonnik i zakrystjany?
Czy się spisał jaki żebrak — wlażł na dzwonnice pijany?
Czy to czary — Boże odpuść! — czy z piekła duchy?

3. Obudził się jasny pan we dworze nie daleko kościoła,
zimnego dostał strachu, na służbę głośno woła...
Nikt nie idzie!.. Stukną karafkę, powyrwał dzwonki,
wypada do sadu pomiędzy kwitnące jabłonki...
„Nie bijcie we mnie dzwony, nakryjcie mię, dworskie grzędy!
Naprawię wszystkie grzechy, okupię wszystkie błędy,
krzyż postawię przy drodze,
stokrotnie wynagrodzę
łzy mej zgubionej niebodze:
ta ścieżka, którą do mnie tylekroć przychodziła,
od srebra się będzie świeciła,
to serce — com rozgniół — odleję z czystego złota
i powieszę u Fary pomiędzy ubogie wota,
te jej podarte trzewiczki napelnę koralami, perłami,
ten grobek udeptany w ziemi obsadzę czerwonymi różami,
córeczkę, sierotkę, przybłądę przytulę
i będzie miała jasne wstążki, jedwabne koszule“.

4. Zbudziła się mała znajda. Jadwisia, u praczki na strychu,
śniła się jej malwa złota w najświętszym kielichu,
śnił się jej krawiec Walenty w skrzydłach i z liliją,
posłyszała w śnie głębokim jak dzwony biją,
Włożyła wyblakłą sukienkę, oczy miała zamknięte,
wzięła z pod poduszki butkę dla Burka na przynętę,
Nawet nie skrzyknęły drzwi od strychu ani brama,
już Jadwisia z psem do rynku biegnie sama:

„Muszę koniecznie zobaczyć
co te dzwony — takie święte i wesole, mają znaczyć!“

5. Wbiegła Jadwisia na cmentarz — o cuda, dziwy! —
rozprostował się w niebiosach krzyż wielki, krzywy,
zapachniało słodkim miodem, bzy się rozwarły,
dostał gwiazdę na mogilkę każdy umarły,
a po ścieżkach, po drożynie płomień biały miga..
Gorejące róże nosi Święta Jadwiga.

6. „Nie najeżaj się, kudłami, psie, niedobry Burku!
Ty, Jadwisiu, patrz, kto stoi przy kościele na podwórku,
tam Święty Martynian przy świętym Sebastianie,
tam siedzi Święty Mikołaj z sierotą na kolanie,
mój syn, Święty Henryk konno stoi ze świętym rycerzem
Marcinem,

tam Święty Roch i Barnaba dzielą się miodem i winem.
Weź no psa na ten sznurek, potrzyj przeciwko trocha,
bo złośliwy jest i może zagryść psa świętego Rocha;
Święty Hieronim łwa opodał przywiązuje do topoli,
bo dzikiego zwierza na uwięzi trzymać woli.“

7. Słucha zdumiała Jadwisia — a dzwon o niebo wali,
patrzy — kościół od ziemi aż po wieże się pali,
świeci się, przezroczysty i czerwony,
przezroczyista i czerwona wokoło niego ziemia na wsze strony..
A po gorejącym dachu i czerwonej ziemi — któż to dobrze
wypowie?! —

Chodzą białymi stopami Święci i aniołowie.

8. Zapłakała Jadwisia: „Jadwigo przenajświętrza,
takbym chciała zajrzeć trochę przez okno do wnętrza,
tak mi pilno wiedzieć z czego ta czerwoność tam wytryska?
.. Ależ taka mała i w podwórzu taki tłum, że nie będę mogła
Czy tu gdzie, o jasna księżno niema dojrzyć zblizka.
Świętego rozbójnika Krzysztofa, dobrego osłbrzyma?
On tu jeden poradzi,
mnie do okna podsadzi!“

9. „Krzysztofie“, woła święta, „Krzysztofie!“ krzyczą dzwony
a on się podnosi, bo siedział popod murem. chórem,
Posadził ją na ramieniu, psa na sznurku trzyma,
przysłgnęła doń Jadwisia rękami obiema;
Podniósł ją do jarzębinek co liście kofyszą,
potem do tej wysokości, kędy dzwony wiszą,
jeszcze wyżej — aż spojrzęła przez szybę najwyższą....

10. A krew ziemi żyjącej przez ściany i kolumny i kopuły się
przelewała..
A na szczycie najwyższym stoi anioł mosiężny, gorejący
hymn śpiewał..
A rycerz na grobowcu brązowymi pięściami bije w grób
A kościół, krwią nabiegły, dygoce, opancerzony!!
szamoce się, łomoce,
i musi tętnić, musi bić, musi walić we dzwony!!!

PEDAGOGIKA H. G. WELLSA.

Według powieści jego p. t. „Nieśmiertelny Ogień“.

(DOKOŃCZENIE).

Taki jest zresztą, w innej sferze wyobrażeń, los młodzieży, którą wychowawcy wprowadzają w sytuacje bez wyjścia, podobne do życia w łodziach podwodnych. Z temi właśnie błędami i z tą ciemnotą, wciągającą życie na drogi bez wyjścia, o niewypowiedzianej ohydzie, walczyć musimy; przeciw temu okrutnemu i strasz-nemu chaosowi, jakim jest świat, przeciw samolubstwu i barbarzyństwu powstać musimy, aby odsunąć człowieka od dróg, na których ród ludzki samobójstwo popełnić może. Bóg, goszczący w sercach naszych, wskazuje drogę, wiodącą do zbawienia, lecz również wprowadza ład wśród ogólnego zamętu i organizuje ludzkość. Oto z czem Bóg ludzki każe nam toczyć wojnę.

Dalej, w jakim celu żyjemy? Wszędzie tam, gdzie płomień boski zapalony być może, zapalony będzie. Wystarczy w tym celu dać wykształcenie. Kształcić się, to nie znaczy jedynie uczyć się czytania, pisanie i rachunków, lecz jest to zdobycie jasnego poglądu na dzieje ziemi w przeszłości, na miejsce, jakie zajmujemy w przestrzeni i na dzieje ludzkości. Zamiast gromadzić w większości bezładnie wiadomości umysłów, należy poczynić w nich pewien wybór i uporządkować je przez wzgląd na łatwiejsze ich rozpowszechnienie. W trosce o prawdę rozumie się samo przez się, że wiadomości te nie będą nigdy wynaturzone i że żadnej z nich rozmyślnie usuwać się nie będzie. Można będzie również posługiwać się jednym językiem. A wtedy ludzkość szybko ku postępowi iść będzie. W pierwszym rzędzie znikną wojny, gdyż ludzie zdadzą sobie sprawę ze wspólności swego pochodzenia i ze wspólnego swego przeznaczenia. Zresztą wychowawcy, którzy będą ludźmi, nie najemnikami, rozpala w każdym ze swych uczniów jaśniejszy płomień, który jest Bogiem. Przeszkodzą oni ostatecznie temu, aby szaleństwo i nienawiść tłumiły głos mądrości. Następnie ludzie zmienią swe urządzenia i ich metody, ułożą systematycznie prace inteligencji ludzkiej w dziedzinie badania naukowego i znajdą sposób wymknięcia się z dróg zła, cierpienia i brutalności wojennej. Trochę zorganizowanej siły zbiorowej, a brud, nędza, cierpienia znikną z życia ludzkiego i ustąpią miejsca szczęściu. A gdy ten postęp się urzeczywistni, ludzkość nie stanie w miejscu. Z całego świata człowiek uczyni ogród... Zapożyczy energję od atomów i zdobędzie tajemnice głębin sklepienia niebieskiego... Odemknie bramy więzienia i ucieknie w przestrzeń. Przebiegać będzie od gwiazdy do gwiazdy... aż dotrze do światła obecności boskiej i spojrzy w oczy wrogowi, naigrawającemu się z niego. Nie, Szatan, nieśmiertelny wróg rodzaju ludzkiego nie będzie wiecznie sztydł z Hjoba. Temu, co niesmaczny Farr uważa za zбочenie, doktor przeciwstawia jedynie krytykę formy. Chciałby użyć innego wyrazu,

niż Bóg, który według niego wywołuje wspomnienie inkwizycji i wojen domowych i proponuje wyrazy ludzkość lub umysł ludzki. Lecz, odpowiada p. Huss, czyż umysł ludzki nie zbudował łodzi podwodnych, nie wymyślił gazów trujących i czyż nie jest niekiedy synonimem ohydnych ułomności, czyż nie powoduje wielu zbrodni i czy nie jest wreszcie często duchem zła? Twierdzisz, doktorze, iż ogień, gorejący w sercu i który ja nazywam Bogiem, jest wytworem pańskiego procesu... nie mogę dowieść, że tak nie jest... Wiem jedno, to, że ów płomień, raz zapalony w sercu ludzkiem, gore w niem, jak żywy ogień... Panuje nad jego świadomością z niebywałą mocą... Każe mu przez resztę dni żywota, pracować i walczyć o zjednoczenie, wolność i triumf ludzkości... W głębi duszy wiem, że zbawiciel mój żywie.

III.

I znów, ze zwykłą potęgą swego talentu, Wells opowiada nam sen, jaki śnił Hjob Huss, uśpiony narkozą, podczas, gdy go operowano. Doprawdy, nie bez żalu opuszcza się tak ciekawe ustępy, w których nie wiadomo, co więcej podziwiać, siłę natchnienia, czy obrazowość słowa. Lecz, mniejsza o to. Hjob mówił do Boga. „Bóg nie przemawiał słowami, lecz światłem; chory nic nie słyszał, lecz myśli krążyły w jego umyśle, jak silne prądy ogniste...“

„Kto jest ten, który zaciemnia moje zamierzenia nieświadomymi mowami?“

— Daj mi poznanie, rzekł Hjob.

— Nic by ci z tego nie przyszło, sztydł Szatan. Twoja walka jest bezcelowa.

— Boże, zawołał Hjob, odpowiedz mi... Czy słusznie walczę?

Zwolna wirować zaczęły błyskawiczne myśli: „Tak długo, jak trwać będzie odwaga twoja, zwyciężać będziesz. Jeśli będziesz odważny, choćby ciemności zaległy, choćby okrutna i krwawa walka miała się skończyć klęską, mimo wszystko zwycięstwo będzie twoje, w jaki sposób się to stanie, zrozumiesz, gdy przyjdzie. Miej tylko odwagę! Od odwagi, która jest w twojem sercu, wszystko zależy. Dzięki odwadze trwa dniem i nocą bieg gwiazd. Jedynie odwaga życia utrzymuje niebo i ziemię na właściwych miejscach. Gdyby zawiodła odwaga, gdyby zgasł ów święty ogień, zawiodłoby i wszystko. dobro i zło, przestrzeń i czas“.

„A czy moja odwaga trwać będzie?...“

Hjob nie usłyszał żadnej odpowiedzi. Lecz odwaga jego trwała. Wyzdrowiał; odziedziczył majątek, otrzymał wiadomość, że syn jego dostał się tylko do niewoli, wybaczył chętnie swej żonie, przejętej skruchą i został uratowany przez swych dawnych uczniów, którzy zwołali komitet w jego obronie i w celu utrzymania go w Woldingstanton. Powiodło im się to.

Siostrzeniec i spadkobierca sir Eliphaz'a napisał do swego dawnego profesora list, który go wzruszył do łez. List ten, stanowiący zakończenie książki, jest istotnie przejmujący, może nawet patetyczny, moje serce pedagoga przejęte nim było do głębi. Niestety, kilka zaledwie ustępów przytoczyć z niego możemy. Nie są to tylko uczniowie, piszący do p. Hussa, lecz raczej wdzięczni synowie. „Jest nas tu kilku, którzy mamy wrażenie, że jesteśmy pańskimi synami; jeżeli pan nas nie obdarza tego rodzaju uczuciem i udzielić go nam nie może, nie zmieni to faktu, że są tu, na froncie, ludzie, którzy myślą o panu tak, jak chcieliby myśleć o swym ojcu...“ Dlaczego Huss tak jest kochany? Czyż byłby doskonałością? Oczywiście, że nie, i uczniowie jego uznają, że bywał nierówny, ostry, nawet niesprawiedliwy, kochali go jednak, gdyż był zawsze niezmiennie ludzkim w swoich stosunkach z uczniami. Zrzucił raz na zawsze maskę pedagoga. „Tem nas pan trzyma. Myli się pan, pokazuje nam pan swoje słabe strony, nigdy żaden nauczyciel, ani ojciec rodziny nie ujawnił się tak całkowicie, jak pan, nigdy nie ukazywałeś się nam w masce; każdy z nas wie, że takim, jakim pana widzi, jest pan w istocie. Nawet malcy z piątej klasy odczuwają to i rozumieją, że pan dąży do pewnego celu z całego serca i z całej duszy, że szkoła żyje i idzie w pewnym, określonym kierunku...“ Nietylko sposób nauczania życia pociąga uczniów, lecz przede wszystkim sposób odczuwania go. „Dzięki panu zrozumieliśmy, że przeszłość świata to nasze własne dzieje; zrozumieliśmy, że stanowią część tej samej żywej historii, co ludzie z epoki reniferów i kapłani egipscy, co żołnierze Cezara i alchemicy hiszpańscy; nic nie umarło i nic nie jest obce; pan nam dowiódł, że odkrycia i zdobycze cywilizacji należą do nas i że cała przyszłość jest naszym dziedzictwem.“ Wskutek tego, niezależnie od środowiska, w jakim się znajdują, uczniowie tacy nigdy nie są zaskoczeni, mają zawsze wrażenie prowadzenia dalej tego samego zadania, kroczenia po tej samej wielkiej drodze. Ci, którzy nie otrzymali podobnego wychowania, mają ideały na krótką metę. „Są to siły, które po skończonej wojnie pozostawiają ich na mieliźnie i nie będą wiedzieli, w jaki sposób wypłynąć na wielką wodę. Wystarczy pomówić z nimi o czasach powojennych, aby zdać sobie sprawę z tego, że ich kierownicy wprowadzili ich w sytuację bez wyjścia. Wartość Woldingstanton stanowi to, że czynią tam z każdego ucznia członka wielkiej wyprawy, łączącej go ze Stwórcą. Tym właśnie duchem ożywni, zabierzemy się wszyscy do różnych naszych zadań, które w końcu stworzą prawdziwy świat, powszechną cywilizację i nowy porządek rzeczy.“

Taka jest kwintesencja tej pracy, w której ma się do czynienia w każdym wierszu z genialnym umysłem Wellsa. Chcielibyśmy, aby to nasze streszczenie, jakkolwiek niedoskonałe, obudziło w czytelnikach chęć przeczytania tej książki, która, według nas, powinna wejść w skład każdej biblioteki nauczycielskiej. Pod wpływem tego, co Huss nazwał gorączką umysłową, rozwinął on wiele myśli z dziedziny metafizyki, nad którymi możnaby szeroko dyskutować. Naszem zdaniem jednak książka ta nie za-

wiera nic takiego, co mogłoby wprowadzić w kłopot wychowawcę, niezależnie od jego wierzeń. Od dawien dawna słyszymy zdanie, że chcąc mieć powodzenie w wychowaniu, należy mieć wiarę. Jaką wiarę? Czy wiarę w Boga sir Eliphaza? Jest ona bez wątpienia bardzo pożyteczna, godna poszanowania, a nawet zazdrości, nie można jej jednak narzucić, ani nakazać, i wielu wychowawców i to nie najgorszych, musi się bez niej obejść. Bez czego natomiast obejść się nie mogą, to bez wiary w ludz-

kość, w możliwość doskonalenia się jej, w jej postęp; wiary w tego wewnętrznego Boga, który ich wzywa i nie pozwala im upaść, pomimo wszelkich rozczarowań; wiary w głos, mówiący im, że ...jęczeć, płakać, prosić równie jest nikczemnie... wiary wreszcie w ten nieśmiertelny płomień, dający im poza jasnowidzeniem ich obowiązków i odpowiedzialności, dosyć energii do poświęcenia się swemu zadaniu jak prawdziwemu posłannictwu. —

przełożyła Helena Grotowska.

KONGRES EUCHARYSTYCZNY.

XXVI międzynarodowy Kongres Eucharystyczny, który odbył się w końcu maja w Rzymie jest bezprzecnie wydarzeniem moralnym pierwszorzędного znaczenia.

Nietylko — dla wiernych, przybyłych ze wszystkich części świata, ale dla obojętnych, a nawet dla przeciwników Kongres ten był objawieniem i stwierdził niespożyta moc Kościoła katolickiego i jego nad-narodowy, wszechświatowy charakter. Po nad państwami, po nad monarchiami jego mała postać władcy dusz, a ponad konferencjami, na których dotąd próżno usiłowano doprowadzić do zgody zwaśnioną ludzkość, zajął się Kongres Eucharystyczny, gdzie, po raz pierwszy od wojny, zasiedli obok siebie wspólnym ideałem złączeni zwycięzcy i zwyciężeni, wszyscy przejęci jednakiem pragnieniem doprowadzenia do pokoju chrześcijańskiego, przy którym nie będzie ani krzywdzicieli ani krzywdzonych.

Na temat tego pokoju toczyły się obrady ogólnych zebrań Kongresu, na których, obok najznakomitszych mówców duchowych różnych narodowości, występowali i mówcy świeccy jak słynny polityk belgijski Carton de Wiart, i prawnicy jak de Simone i Gabilan.

Pokój powszechny, indywidualny, domowy, rodzinny, społeczny, narodowy, międzynarodowy, wreszcie Eucharystja, jako źródło pokoju między ludźmi i połączenia ludzkości z Bogiem, oto program prac kongresu. Głębokie mistyczne i symboliczne znaczenie jego szło w parze z przepychem uroczystości które, na tle Rzymu, związanych z nim wspomnień i rozsiągniętych na każdym kroku wspomnień przeszłości, odznaczały się niezrównaniem, pod względem malarskim, pięknem.

Na słynnym dziedzińcu Belwederskim, z którego w średnich wiekach Papież przyglądali się turniejom i igrzyskom rycerskim lub przysłuchiwali dyskusjom literackim, miała miejsce inauguracyjna uroczystość kongresu. W głębi dziedzińca wznosił się pawilon papieski, zdobny w przepyszne „Arazzi“ przedstawiające ostatnią wieczerzę i symbolizujące Mękę Pańską i Eucharystję. Pod baldachimem wznosił się tron i miejsca dla Kardynałów i Biskupów, pawilon otaczały oddziały gwardji papieskiej, żandarmerji w złocistych hełmach

i tłumy pielgrzymów, przybyłych ze wszystkich stron świata. Na środku dziedzińca starożytną fontannę ozdobił okrąg najpiękniejszych roślin z cieplarni watykańskich.

Z tym to dziedzińcem wiąza się osobiste wspomnienia dzisiejszego Papieża, bo wokoło bieżną Galerje słynnej Biblioteki Watykańskiej, w której tyle pracowitych lat spędził Monsignor Achilles Ratti i na ten dziedzińiec wychodzą okna małego mieszkania, które wówczas zajmował w Watykanie.

Kiedy o 5 na dziedzińcu pojawił się powóz Papieski i Ojciec Święty wstąpił na stopnie tronu, został powitany z niesłychanym zapalem.

Na przemówienie kardynała Vanutelli Papież stojąc odpowiedział dobitnym głosem, wezwał pielgrzymów do spędzenia dni, poświęconych Kongresowi, w nastroju czystym i podniosłym, poczem udzielił Apostolskiego błogosławieństwa.

Nawet Rzym dawno nie oglądał tylu dostojników kościoła wszelkich obrzędów i ze wszystkich części świata jak ci, którzy nazajutrz na Wielkiej Mszy Papieskiej zebraли się u Ś-go Piotra. Liczba ich przekraczała trzysta, a byli między nimi i Biskupi Wschodni o długich brodach, z zawieszonymi na piersi, obok Krzyża, obrazami świętych, i Hindus o brązowej cerze, a wszyscy w mitrach i dalmatykach, wspinały przedstawiali widok. Tłum 100 tysięcy, wypełniający świątynię gromkimi okrzykami „Evviva“ powiewaniem chustek i kapeluszy powitał wnoszonego do kościoła na Sedii Gestatorii Papieża, a przedziwnej piękności chór, złożony z 950 alumnów, wybranych ze wszystkich kolegów duchownych zaintonował: „Tu es Petrus“. Przed posągami Ś-go Jana wysoko w górę wzniesiony biały sztandar z napisem: „Chrystus albo śmierć“ — pochylił się przed Papieżem, a trzymający go młodzieniec głośno zawołał „Ojciec Święty to Medjolan“.

Msza odbyła się podług zwykłego na podobnych uroczystościach ceremonjału.

Na tronie, umieszczonym w prezbiterjum, zasiada Papież, a kardynałowie, Arcybiskupi i Biskupi kolejno podchodzą dla ucałowania ręki, wkoło tronu w malowniczych grupach ustawieni Guardia nobile w czarnych hiszpańskich strojach i wojsko palatyńskie w złotych szyszakach.

Epistołę i Ewangelję, po odśpiewaniu przez księży łacińskich, powtarzają po gre-

ku duchowni obrządku wschodniego. Organ milczą. Śpiew gregorjański 950 alumnów rozlega się w olbrzymiej świątyni z jakąś archaiczną prostotą i powagą minionych wieków.

Naraz milknie wszystko, wokoło niezamącona cisza. To Podniesienie, tłum kornie chyli się ku ziemi, wojsko na kolanach prezentuje broń, Papież wznosi Hostję i kielich, a z wyżyn Kopuły Michała Anioła, jakby z zaświatów nieziemska jakaś rozlega się melodia, na srebrnych wykonaną trąbach.

Po ostatnich modłach i udzieleniu błogosławieństwa, Ojca św. z tym samym ceremonjałem do wewnętrznych odnoszą pokoi, przy niemilkających, entuzjastycznych okrzykach tłumu.

Tegoż dnia z katakumb, tak ściśle związanych z pierwszemi wiekami chrześcijaństwa, wyszła pierwsza procesja do Bazyliki Ś-go Pawła. W nocy w różnych kościołach odbyła się Adoracja Przenajświętszego Sakramentu, u Ś-go Piotra wyłącznie dla mężczyzn z udziałem Ojca Ś-go, który po odprawieniu Mszy, z pomocą kilkunastu Biskupów, rozdawał Komunię tłumom wiernych. Jednym z momentów najgłębszych pod względem symbolicznym i najpiękniejszych pod względem malarskim, a przytem do głębi wzruszającym była zbiorowa Komunia dziesiątków tysięcy dzieci w Kolizeum.

Na środku areny rzymskiego amfiteatru, na miejscu krwawych igrzysk Nerońskich, na którym tylokrotnie płynęła męczeńska krew pierwszych wyznawców Chrystusa, miejscu dla nas specjalnie drogiem, bo upamiętnionem arcydziełem Sienkiewicza, wznosił się pod purpurowym baldachimem ołtarz, wokoło niego w niezliczonych szeregach dziewczęta w bieli i chłopcy ze sztandarami, niekiedy w charakterystycznych średniowiecznych strojach „Paziów Przenajświętszego Sakramentu“ „Paziów Ś-go Ludwika“.

Na galerjach wszystkich pięter, w przejściach, po nad lochami, zkad wypuszczano na chrześcijan dzikie zwierzęta, nieprzeliczone tłumy rodziców i pielgrzymów ze wszystkich krańców świata.

Po Mszy Biskup i kilkudziesięciu księży, eskortowanych przez małych harcerzy, chodzilo wśród klęczących dzieci, rozdając Komunię.

(D. c. n.).

Wukry.

Prof. S. ZIELIŃSKI.

ORESTEJA AJSCHYLOSA

Idea usprawiedliwienia moralnego.

Jej geneza i rozwój.

(CIAĞ DALSZY).

Z Termopil kult nowego boga posunął się dalej na południo-zachód, ku środkowej części Grecji: tutaj była góra Parnas, a na niej najdawniejsza świątynia Ziemi. Świątynię tę zajął właśnie Apollo, występując pod każdym wzędem, jako zapowiadany przez religję Zeusa, Mesjasz; tutaj ubił on smoka, wypiaszowanego przez ziemię, wydarł jej wiedzę, którą tała i założył swą najdawniejszą świątynię i wyrocznię delficką. Parnas stał się świętą górą Apollina, głównym obok Termopil ośrodkiem jego kultu. Łączność między temi dwoma ośrodkami istniała też i w czasach historycznych: zgromadzenia tak zwanych amfiktjonów (t. j. przedstawicieli państw, które zobowiązały się do obrony świątyni w Delfach) zaczynały się w Termopilach, albo, jak nazywano je prościej, w Pilach, dalszy zaś ciąg miały na górze świętej w Delfach. Ta łączność osiągnęła również wyraz mitologiczny, dość swoisty. — w rozdzieleniu postaci Apollina na Apollina, przedstawiciela Pil, i Apollina, przedstawiciela góry; pierwszego mianowano Piladesem, drugiego (od greckiego *oros-góra*) Orestesem. Tak w wyobraźni Greków powstała owa po dzień dzisiejszy słynąca para.

Pod wpływem kultu Apollina najdawniejsza religja Zeusa uległa reformie. Apollo ubił smoka, wypiaszowanego przez Ziemię; smoka, który zagładą groził Zeusowi, — a więc zagłada ta nie nastąpi: królestwo Zeusa ma wieczność zapewnioną. Jednakowoż, wszystko, cokolwiek się zaczęło, musi się skończyć; królestwo Zeusa nie powinno mieć końca, a więc nie mogło też ono mieć i początku. Zeus jest wieczny i odwieczny. Zeus nie zginie; niema przyczyn jego zguby; niema walki między nim a Ziemią; gdy religja Apollina dotarła do najdawniejszego ośrodka kultu Zeusa, do Dodony, ustami natchnionej kapłanki — prorokini nowego boga wypowiedziała ona w dwóch wierszach istotę reformy, która się dokonała.

Jest Zeus, był on i będzie; zaprawdę wielki jest Zeus!
Ziemia owoce wam rodzi, więc chwalcie macierz swą
[Ziemię!

Religja dawna, w założeniu mająca walkę Ducha i Ziemi, oczywiście, była głębsza od nowej, nowa, natomiast, zawierała w sobie więcej radości życia: swobodniej można było odetchnąć, nie czując w pobliżu paszczy Żmii, nie myśląc o zagładzie, wiszącej nad bogami i nad kulturą ludzkości.

Co zaś do starodawnego mitu Zeusa, mitu o Zeusie-Agamemnonie i Ziemi Klitemnestrze, to był on również pod wpływem nowej religji uzupełniany. Obiecany Słońce-bohater stał się, oczywista, Apollinem, mianowicie Apollinem góry świętej, gdzie był zabity Smok, Orestesem; Apollo zaś przywiódł ze sobą także siostrę swą „promienną“ Artemidę-Elektre. Jednakowoż rola tej ostatniej była dość nieokreślona, gdyż nie stanowiła części mitu organicznej, pierwotnej. Wobec tych wszystkich atoli

uzupełnień, mit nasz nadal nie mógł pozostać mitem teologicznym: wszak Zeus Agamemnon ginie z ręki Ziemi Klitemnestry; wedle zaś religji Apollina, Zeus był wierny i żył w zgodzie z Ziemią. I oto pierwiastki boskie tego mitu zwołna ulegają zapomnieniu: przed sobą widzimy już nie Zeusa-Agamemnona, nie Ziemię-Klitemnestrę, lecz poprostu Agamemnona, Klitemestrę, Ajgisthosa, Elektre; — na szczęście w Sparcie zachował się do czasów historycznych kult „Zeusa-Agamemnona“, jako żywy dowód charakteru pierwotnie teologicznego całego mitu. Wraz z Zeusem i królestwo jego zstąpiło z nieba na ziemię: ów biały „gród“ bogów, w którym królował Zeus-Agamemnon, umiejscowiony został w Grecji, jako bądź to pelargiczny, bądź achajski „Argos“. Cała skala uległa zmianie: skoro gigantyczne i mgliste postaci pradawnej przeszłości sprowadzono do normy, skoro obdarzono je jasnością i plastyką — tedy i działalność ich podległa probierzom ludzkim: wraz z zanikiem pierwiastka teologicznego, wysunął się na plan pierwszy pierwiastek moralny. Klitemnestra stała się poprostu żoną wiarołomną, która, pospołu z kochankiem, zamierzyła zabić swego małżonka: Orestes stał się synem wiernym, poszukującym zemsty za śmierć swego ojca... *A propos*: mści się on z rozkazu Apollina, pod którego górą świętą otrzymał wychowanie; w tem zachował się ślad pierwiastkowej tożsamości Orestesa z Apollinem góry świętej. Wszystkie te działania ludzkie domagały się ludzkich pobudek; pobudki te dał pierwszy poeta, jak mit nasz opracował, autor tak zwanego poematu cyklicznego „o powrocie bohaterów“ (*Nostoi*), przypisywanego w starożytności Homerowi. Ludzkie zaś pobudki odwołują się do ludzkich również uczuć sympatji tudzież antypatji. Mit cały został zbudowany tak, iżby sympatje nasze były po stronie wiarołomnie zabitego króla i mściciela, młodego bohatera Orestesa; wszelako dla matkobójcy czuć sympatji nie możemy: dlatego to w poezji postrzegamy dążność ku temu, aby na plan pierwszy wysunąć dokonane przez Orestesa zabójstwo Ajgisthosa, bezbożnego uwodziciela małżonki swego króla, w niepamięci zaś pogrzyźć mord samej Klitemnestry. „Zaliś nie słyszał — zwraca się w *Odysei* Atena do Telemacha.

...do jakiej Orest doszedł sławy

Między ludźmi, że zgladził Ajgista, mordercę,
Który mu ojca zabił? I tyś moje serce,
Wzrostem, kształtem wybujał: co umiesz, czas
[dowieść,
Aby później potomek z dzieł twych upiółł powieść.

I możemy być pewni, że z czasem moralność wzięłaby górę. Klitemnestra zostałaby z mitu usunięta i jako bezpośrednia zabójczyni męża i jako ofiara zemsty ze strony swego syna i tu i tam miejsce jej zająłby Ajgisthost, jej zaś w udziale przypadłaby rola drugorzędna pokutującej grzesznicy, której z łatwością przebaczyłby zwycięski syn. Stałoby się to, powtarzam, niewątpliwie, — gdyby nie reakcja religijna ósmego i siódmego stulecia. Mit nasz miał szczęście albo nieszczęście znalezienia się w tym prądzie reakcyjnym, i prąd ów, zachowując go w postaci pierwotnej, nadał mu treść nową, taką, o jakiej dotąd nie było nawet mowy.

Ośrodkiem owej reakcji religijnej była też

sama wyrocznia delficka na świętej górze Apollina.

VI.

W hymnie homeryckim ku czci Apollina bogini wyspy Delos, mającej stać się miejscem urodzenia nowego boga, mówi z tego powodu do położnicy, Tatony:

Żądny władzy, jak mówią, będzie syn twój, Apollo;
Pierwszym stać się zapagnie wśród grona bóstw
[nieśmiertelnych,

Pierwszym wśród ludzi śmiertelnych.

Żądza władzy stanowiła cechę znamionną kultu Apollina w Grecji, a raczej tej szczupłej gromadki kapłanów i kapłanek, która kultem tym rządziła w Delfach. Historia nie zachowała pamięci o indywidualnych czynach każdego i każdej z nich, a szkoda: pozbawiło nas przez to znajomości z całym szeregiem ludzi wybitnych umysłem i wolą, bez zastrzeżeń sprawie swej oddanych i wierzących... Czy tylko, naprawdę, wierzących? Na szczęście, mamy już poza sobą te czasy, gdy ludzie światli umieli wyobrazić sobie mądrych kierowników religijnej siły ludzkości jedynie w postaci obłudników; dziś wiemy (a przynajmniej, moglibyśmy wiedzieć), że szczerą wiarą z łatwością może utrzymać w człowieku ten ogień święty, dzięki któremu życie jego staje się nieustającym czynem dla dobra ludzkości, że natomiast, obłuda, zachowywana w ciągu całego życia (a cóż dopiero w ciągu następujących po sobie pokoleń) byłaby czemś potwornym, czemś, co siły ludzkie przekracza. I gdyby świątynia w Delfach zachowała była wizerunki swych arcykapłanów, bez trudu rozpoznalibyśmy w jednym z nich — Grzegorza Wielkiego, w drugim — Grzegorza VII, w trzecim — Innocentego III. Góra święta w Delfach i stolica święta w Rzymie są to zjawiska niezmiernie podobne; o podobieństwie tem nieraz wypadnie nam wspominać.

Jak powiedziałem, atoli, indywidualne czyny kapłanów delfickich utonęły w niepamięci; sądzić możemy o zbiorowych jedynie czynach boga delfickiego. Celem ich była z jednej strony, hegemonja duchowa nad Helladą, a także (o ile grała tu rolę polityka, będzie o niej mowa poniżej); z drugiej strony, skojarzenie pierwiastka moralnego z religijnym, obce starodawnej religji Zeusa. Pod tym względem, trzeba przyznać, religja Apollina, nie jest czemś odosobnionem, do tego samego celu dążyły i dwie inne religje nowe, religja Demetry (Cerery) i Djonizosa (Bacchusa). Różnica polega jednakże na tem, że obie te religje usiłowały cel swój osiągnąć w drodze stowarzyszeń tajnych; wyznawcy ich obowiązani byli dać się poświęcić w *tajnie* eleuzyńskie lub *orfickie*. Religja Apollina, przeciwnie, dążyła do celu swego jawnie, żadnych nie uznając tajników; świątynia w Delfach stała otworem dla wszystkich, wszystkich jednako witała wyrzezana nad jego drzwiami dewiza: *gnoti seauton*.

Radosnem zwiastowaniem nowej religji była, jak widzieliśmy, zgoda Zeusa i Ziemi. Sama świątynia w Delfach stała na tem miejscu, gdzie ongi mieściło się najsłynniejsze uroczysko wieszczek bogini; przejednanie Ziemi stało się naturalnym wymogiem religji Apollinowej. Lecz Ziemia była nietylko żywicielką śmiertelnych, tą, która „rodzi im owoce“: Ziemia przyjmowała również ich dusze po śmierci. *D. c. n.*

M. H. SZPYRKÓWNA.

NA KRESACH.

(DOKOŃCZENIE).

A potem niewiedzieć kiedy, przebudzenie już w drodze, na bryce, i tylko w pół śniona, w pół widziana postać młodej żydówki w progu karczmy, wspartej niedbale o futrynę niskich drzwi, jak stoi, patrząc śladem ginącej bryki, z jakimś pasowym, podartym szalem na królewskich ramionach i bezdenną, mroczną tęsknotą w nieruchomo rozwartych żrenicach. Szyja śniada i pełna, wygięta jak cenny instrument muzyczny... To ona musiała mieć ten gruchający, pieściwy i dziki głos...

A potem nowe, ciekawe wrażenia, które zacierają nocne majaki. Ciągące traktem, nieskończone obozy garncarzy, naładowane spiętrzonem naczyniem, hurty bydła, pędzone ku miastu zбочami drogi, chudzi i smagli poganiacze w wysokich czapach, uzbrojeni w długie biczyska, idący pobok, jakiś przeciągły, tęskny, bezsłowny, snujący się śladami tych obozów śpiew... Bryczki podmiejskie, wiozące jarzyny i nabiął, ciężkie karoce o tajemniczym, przysłoniętem wnętrzu, zalotne wolanty, wymijające całą tę ciężką baterję, i wmięszana w ten sznur, parokonna, gospodarska bryka z Żukiniszek, kierowana przez starego Panasa, ze starą babunią i z maleńką babuńką, którą wiezie oto w krainę rzeczy cudownych stary, wierny, cienisty trakt.

Tupot małych, szybkich nóg przerywa wspomnienia babuńki. I zanim ma czas się spostrzedz przebyć z powrotem te lat kilkadziesiąt, ku którym zeszła w zaciszu galerijki, jej rówieśnicy i powierniczki, małe opalone ręce przypadają do jej kolan i dziecinny głos wezbrany szczęściem mówi:

— Babuńku!... Most na Pierepietce zniósł i jutro trzeba będzie przeprować się na promie... Ludzie będą stać i ciągnąć za sznury, on wtedy i pojedzie... I ja będę ciągnąć, dziaduń powiedział, że i ja... A za Huszczarewskim lasem stoi cygański tabor... Pietruk sam widział... Mówi, że tak od drogi, jak stąd do ganku, wszystko widać... Tańczą, i śpiewają, i sztuki różne pokazują... A my tam pojedziem i wszystko zobaczymy... I ja pojedę... I zobaczę... I cyganów, i na promie, i wszystko... wszystko...

Siedmioletnie Juziukowe serce jest przepelnione radością tak wszechpotężną i trjumfalną, że niema czasu zważać na rzeczy zewnętrzne. To też jest niepomału zaskoczony, kiedy drżące, białe dłonie babuńki przyciągają go do siebie i tulą mocno, mocno, a starczy, roztrzęsiony niezrozumiałem mu wzruszeniem głos szepce z jakąś rozpaczliwą, pełną miłości tęsknotą:

— Pojedziesz... Pojedziesz moja rybko, moja kruszyno, pojedziesz... Za starą babuńkę pojedziesz, i trakt zobaczysz, i w borze popasywać będziesz... Trakt ten sam... Bór ten sam... Mnie Pan Bóg już nie pozwolił, ha... święta jego wola. Ale ty za mnie pojedziesz, rybko ty moja... kruszyno ty moja... ptaszeczku ty mój maleńki...

I babuńczyne, cichutkie łzy spadają jak ciepłe krople wraz z pocałunkami na dziecinną, zdumioną twarzyczkę.

— Samuś!... Podawaj!... — woła Juziuk z całej mocy, wypadając na ganek. — Dziaduń już idzie, doprawdy idzie... Podawaj!...

Ale flegmatyczny Samuś, zwiedziony wielokrotnym a płonnym alarmem, ogania nadal leniwie muchy długim biczyskiem od koni, które z rezygnacją chronią się wraz z landarą w cieniu brzóz przed zapowiadającym się już upałem. Ranek jest jeszcze wczesny, ale niebo bez chmurki i promienne, strzeliste słońce wieszczą gorąco.

Nareszcie jednak drzwi się otwierają i na ganek wychodzi sam dziaduń. Ma na sobie odświętny surdut, i płaszcz z peleryną, z kieszeniami, w których się mieści Złoty Ołtarzyk, kraciasta chustka, tabakierka i karmelki dla dzieci wiejskich, które otwierają po drodze wrota. W ręku trzyma parasol i kapelusz słomkowy, który przed każdym festem pani ekonomowa pierze osobiście w sobie tylko znanym sekrecie z kwaśnego mleka i miętowego odwaru. Wyszędłszy, osłania oczy ręką i rozgląda się po niebie. Niebo jest bezdennie błękitne, i jak sięgnąć okiem, nie znać na niem ani obłoczka.

— Piękna dał Pan Bóg pogódkę, w sam raz jak na fest... I procesja, znaczy się, dobrze wypadnie, i proboszcz w humorze do preferansa będzie. Na deszcz, to mu strzyka w kolanie, że ani się z nim dogadać. No, Juziuk, mosterdzieju, gotów?... To i dobrze. My z tobą, wiadomo, mężczyźni: raz, dwa i już!... A z babami nie daj i Boże: fioczeki, loczki, spódniczki, patrzysz — na sumę i zapóźnili się... A gdzież to pani Rogulkowska?... Wołaj, serce, Marysiu, niechaj idzie... Jechać pora... A ty, Juziuk, mosterdzieju, biegaj po pannę Dorotkę, powiedz, że proboszcz przysłała i prosi, kiedy łaska, żeby się pośpieszyła, bo organista bez niej wszystkie świece pogasi.

Juziuk jak strzała pędzi przez podwórze do posesorskiej oficyny, ale już we drzwiach wpada na zrozpaczoną panią Zajączkową.

— Zginęła, jak ten kamień w wodę, i niema... — biada, rozkładając bezradnie pulchne ręce, pani posesorowa. — Wykąpała się, przyczesła się, halkę włożyła i zginęła... I bordowa suknia, w której jechać kazałam, na podłodze w bawialni pod kanapą leży. Czuje moje serce, że uparła się ona przy tej błękitnej, i postawi taki na swoim. Jakbym widziała, że postawi: taki już jejny charakter... Pras pod klucz zamknęłam, deskę schowałam, a taki czuje moje serce, że ona coś z tą suknią szachruje... Nie inaczej, tylko z tą suknią... Oj, nauczyć ją trzeba, jak matki słuchać... Tak ot wziąć ten rzemień, i nauczyć... W ciepłicy byłam, na czerdaku byłam, u Frośki byłam: — niema i niema... Dorotka, gdzie ty podziałas się, słyszysz... Odhuknij mi się zaraz, bo jak nie, to tobie taki fest wyprawię, że popamiętasz... Dorotka!...

— A ja wiem!... — woła trymfalnie Juziuk. Panna Dorotka pożyczyła prasa od naszej Laweśki, i w altance, co za sadzawką, na stole z Froską prasowała... My z Pietrukiem w truskawki biegali, to i widzieli... Tam ona pewnie i jest...

— Tak-taki prasowała!... — płaska w ręce zaskoczona pomysłowością córki pani Zającz-

kowa. — Pan sowietnik już do powozu wsia- da, a ona prasuje... Dorotka, słysz, Dorotka!... Spóźni się, jak Bóg na niebie, ta spóźni się... Ach błaznica, ach latawica. Któż na nią będzie czekać?... Siadą i pojedą, a ona zostanie... Taki jest, a ona zostanie... Dorotka, gdzie ty, chodź prędko... Dorotka!...

Pani posesorowa sama nie spostrzega, jak z potępienia przechodzi do solidarności, i jest bliska rozpachy, tembardziej, że dziaduń istotnie wchodzi do powozu.

— A chodźcie tam, kobiety... — woła jeszcze. — Co to jest za taki pogański porządek... Juziuk, chodź, mosterdzieju, siadaj... Kogo niema, ten i nie pojedzie... Od powietrza, głodu, ognia i od babskich wyborów, zachowaj nas Paniel!...

Ale w tej chwili z drzwi jadalni wybiega pani ekonomowa w fijołkowej odświętnej sukni i w szalu na drobno zakarbowanych loczkach, zaś z bramy ogrodu, jak wicher wypada cała na błękitno Dorotka. Ma zaczerwienione policzki, przypięte u gorsu bratki i groszek, a na ręku dźwiga olbrzymi wieniec, upleciony z dzikiego wina i powoju.

— Na ołtarzyk dla Matki Boskiej — mówi, składając wieniec u kolan babuńki i spuszczać oczki. — Chciałam wczoraj, ale nie udało, to już dzisiaj od samego rana do altanki byłam wybrawszy się... Jeśli zapóźniłam się, przepraszam...

— Ot, za to dziękuję, rybko, bardzo dziękuję, pocieszyłaś mnie starą — mówi babuńka. — Pewnie, że przy feście grzech ołtarzyka ładnie nie ubrać, jeśli już do kościoła Pan Bóg nie pozwolił!... Dla takiej przyczyny to i zapóźnić się nie wstyd... Odnieś, Adelińka, wianek do ołtarzyka. Popołudniu przyjdzie pani Zajączkowska na litanję, to i zawiesimy. Dziękuję...

Pani ekonomowa brała wieniec i zjadliwie ścinała usteczka.

— Patrzajcież!... To panna Dorotka w altance wianeczek plotła?... Jak to łatwo człowieka o co złego posądzić... A ja idę rano do kąpieli, widzę: leci Frośka z altanki i pras pod fartuchem niesie. A w altance, widzę, sukienka panny Dorotki, pięknie wyprasowana, na kołku wisi. Tak jeszcze sobie i pomyślałam, że grzechby to był i zgorszenie, żeby w chrześcijańskim domu w takie święto przeciw przykazaniom kościelnym robotą zajmować się, przepisy święte gwałcić. Aż tu panna Dorotka tymczasem wianuszek na chwałę bożą plotła... Patrzajcież!... A Frośka z prasem jego, musi, dla większej piękności przyglądała?... Patrzajcież!...

Dorotka uderza w pons i nos jej brzęknie jak do płaczu. Ale dziaduń przecina w czas wszelkie dalsze wynurzenia.

— Jak Boga kocham, z temi kobietami!... Siadaj mi zaraz panienka jedna z drugą!... A niech panna Dorotka zasłoni szalikiem, nie zagląda, bo kurz niecnota i tam bez nijakiej skromności się dostanie. Pani asesorowa dobrodziejka tu. A dajże pani raz spokój z temi

spódniczkami... Toż to, Boże odpuść, pod ziemię nikt nie będzie zaglądał, czy tam karbeczki takie, czy owakie... Juziuk!... Siedzisz, mosterdzieju, na koźle, to się trzymaj, a nie, to do worka i pod siedzenie!... No, serce, Marysiu, to już i do widzenia!... Nakazałem, żeby Semenicha do ciebie popołudniu najrzała, na wypadek czego!... Przed północnym powrócimy!... Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!...

— Na wieki wieków!... Romusiek, a uważaj tam na Juziuczka!... Żeby nie spadł, broń Boże i nie rozbił się!... A truskawki, Adelińka, po przyjeździe nie zapomnij zaraz na chłód kazać postawić do obiadu... Księdzu proboszczowi się kłaniaj i proś pięknie, niechaj do nas zajeżdża i z Kamilką!... I Juziuczka, jeśli z powrotem zaśnie, żeby okryć burką, a to zaziębi się!... No to już jedźcie, niech was Bóg prowadził!... Do widzenia!... Do widzenia!...

WANDA MIŁASZEWSKA.

3)

KSIĘGA UMARŁYCH.

Na odgłos szczekania drzwi ganku otworzyły się i stanął w nich wujaszek Klemens.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! toż Jurek! — zawołał radośnie i otworzył ramiona.

— We własnej osobie... Cóż to, nie poznał mię wujaszek?

— Nie poznał, he, nie poznał! Jabym cię, smyku, nie poznał! Ale też zmężniałeś! I, bodaj, żeś urósł jeszcze... Chodź, pokaż że się!

Obrócił mię kilkakrotnie wkółko, całując co chwila w oba policzki i pokrzykując z podziwu.

— A wujaszek o tej porze nie w polu, nie na „Ambonie“? Cóż to się stało? — spytałem wreszcie, gdy wzięwszy mię za rękę, prowadzić zaczął ku domowi, zupełnie jak małego chłopczyka, który przyjechał z promocją do pierwszej klasy.

Wujaszek Klemens zmarkotniał trochę, poczem rzekł:

— Widzisz... Ambona w naprawie. A przytem, rana mi się w nodze niedawno otworzyła i choć Ambona niezłe ma resory, ale jak na kamieniach, kochanku, trzęsie, to trochę boli... Jeździ teraz w pole Lisowski na Karej.

I zaraz zaczął żywo:

— Wcale niezły człowiek, ten Lisowski. Wiesz, zrobiłem z niego ekonoma. Nie pisałem ci o tem, bo się chciałem przekonać, jak sobie Lisosio pocznie. Ja tu teraz i w domu mam tyle roboty, że na pole nie codziennie mogę. Ale Lisowski dobrze się sprawnia; a ty cóż? Na długo? Może na stałe, Jurku, co? Boże mój, tyle lat! To już przeszło trzy lata, jak Karolina...

W bladoniebioskich oczach wujaszka zamigotało coś, jak łza i stoczyło się po ogorzałym policzku.

— No no! chodź do swego pokoju. Za-

— Do widzenia!... — woła Juziuk, tryumfalnie wywijając czapeczką. — Do widzenia!...

— Samuś, ruszaj!... — mówi dziaduń. — Z Bogiem!...

Landara, skrzypiąc i dzwoniąc, rusza z miejsca i wyjeżdża za bramę, którą przytrzymuje sam pan Zajaczek, śmiejąc się całą rumianą twarzą. Poczem przejeżdża dookoła obór i całego obejścia, wydostaje się na drogę i skręca. Na skręcie miga jeszcze błękitna czapka Samusia i parasolka panny Adeli, poczem wszystko ginie za górą. Słysząc tylko oddalające się dudnienie ciężkich kół po ubitej drodze, powoli jednak i ten ostatni odgłos milknie. Pan Zajaczek zamyka bramę. I na rozgwarnem przed chwilą podwórku zalega cisza, słoneczna i błękitna, przez którą słysząc tylko cieniutkie, radosne dzwonięcie świerszczy w zakątkach bujnych traw.

I babuńce, przyzwyczajonej przez ciąg długiej choroby do częstych nieruchomych od-

raz podwieczerek podadzą. Ja go zwykle nie jadam teraz, ale dotrzymam ci kompanji. No cóż, Jurku, cóż? — mówił, wprowadzając mię do pokoju, który znałem tak dobrze. — Wszystko po staremu, prawda? Nic nie zmienione, prawda? Najmniejszy drobiazg tak samo stoi, jak za... Głos uwiązł mu w gardle. Zamilkł i, stanawszy pod światło, przypatrywał mi się bacznie.

— Aleś ty się zmienił jednakże! Zawsze myślałem, że z ciebie istny ojciec wyrośnie... Jedne tylko oczy... a teraz... teraz...

Znowu się zająknął. Wzruszenie głosu mu tamowało. Zauważyłem później, że ilekroć wspomniiał coś o mojej matce, zawsze ogarniało go to nieopanowane wzruszenie. A wspominał często, coraz częściej. Im bliżej było mu do grobu, tem usilniej, jakby z uporem, o matce mojej mówił, szczegóły z jej życia przypominał i do tego jednego tematu najchętniej powracał.

Stara Krystyna, jeszcze matki mojej zafana klucznica, powiedziała któregoś dnia do mnie:

— To teraz tak ciągle z panem Klemensem. Pan Klemens tylko aby panią dziecinkę nieboszczkę wspomni, to mu zaraz pamięć zamroczy, mowę odejmie, i ani rusz dokończyć nie może. Musi pan Klemens tak ze starości troszeczkę tu...

I pokazała na czoło.

Biedny wujaszek robił szalone wysiłki, by mi wykazać, jak to on gospodaruje, jak się cały dom na jego głowie trzyma... Poznał mi księgi rachunkowe, oprowadzał po stajniach, oborach, śpichlerzu. Zauważyłem w nim jakąś nerwową drażliwość na punkcie gospodarki.

— Staram się, jak mogę — powiedział kiedyś do mnie prawie ze łzami — robię, co mogę... Ale to już nie to... nie to... Jak Karolina żyła, o... to było co innego.

Spostrzegłem również, iż owa skłonność do łez wzrosła. Zupełnie, jakgdyby owego pamiętnego dnia, w oktawę śmierci mojej matki, otworzyły się w oczach wujaszka obfite śluzki. Tak się łatwo duże, przezrocyste łzy toczyły po wyschłych policzkach.

prowadzin i pożegnań się jednak jakoś dziwnie samotnie. Spogląda śladem dawno znikłego już oczom powozu i chwije siwą głową ruchem, w którym jest i wyrozumienie, i tęsknota, i coś jeszcze, coby najściślej można określić słowem żal.

— Pojechali... — szepce blademi, starcami ustami — pojechali... Wjeżdżają teraz na Tomaszewską górę, co koło promu... A jeśli dużo ludzi, może jeszcze i czekają... Panna Adela boi się jechać przez wodę. A Juziuczek ciągnie za sznur, skacze, jak ten świerszczyk, cieszy się. Dla niego i to cały świat!...

I jakby w zeznaniu winy za tę chwilę tęsknoty, delikatna, wysubtelniona wyrazem zardawnionego cierpienia twarz chyli się w skrusze przed jakimś jej tylko samej znanym trybunałem, i cichy szept płynie, jak ostatnie, z dna duszy wysnute błogosławieństwo:

— Daj im tylko Boże szczęśliwie!... Daj im Boże!...

W kilka dni po przyjeździe, któregoś ranka, zastałem wujaszka jeszcze w łóżku. Zanepokoilem się, czy nie chory, bo zwykle wstawał razem ze świtem. Ale wujaszek rzekł prawie wesoło:

— Wiesz co, Jurku? Ty dziś sobie sam towarzystwa dotrzymuj, a ja poleżę. Cóż chcesz? Stare kości... Trzeba im czasem dać wypocząć. Dziś mogę z czystym sumieniem, bo roboty pilnej nie ma. Ot, poradziłbym ci coś: Pojeżdż w sąsiedztwo, do Górskich! To się im nawet od ciebie należy. Zacni ludzie. Olesia tu nieraz do mnie zachodzi. Muszę ci nawet powiedzieć, że gdyby nie ona, byłoby marnie z całym tem kobiecem gospodarstwem. Krystyna stara niedołęga. Przecież dawniej Karolina wszystko...

Przerwał i dokończył po chwili:

— Powinieneś nawet tam być, podziękować. Bo i Górski pocziwiec! nie ma tygodnia, żeby nie zajrzał dowiedzieć się, jak sobie radzę. Każ, Jurku, zaprzadź do wolancika, pojedź!

Pojechałem do państwa Górskich. Głównie dlatego, by zadowolić wujaszka, a trochę może i gnany ciekawością, jak się ci ludzie moim oczom wydadzą po tylu latach niewidzenia.

Kiedyś żyliśmy z nimi w przyjaźni. Był to jeden z nielicznych domów, z którymi matka utrzymywała stosunki. Pamiętam, że jeszcze jako uczeń gimnazjalny, chodziłem często w tamte strony na kaczki a po drodze wstępowałem „na chwilę“ i przesiadywałem nieraz do mroku, strużąc dla małej Olesi łódeczki z kory, albo też puszczaając na wodę żaglowce z orzechów włoskich, w których pasażerami były schwyte w wysokiej trawie żuki o lśniących pancerzach.

Lubiłem zawsze tę jasnowłosą dziewczynkę, chociaż różnica lat była między nami zbyt wielka, bym mógł uważać to dziecko za odpowiednie dla siebie towarzystwo. Gdy wyjeżdżałem na studia, panna Olesia mogła mieć najwyżej czternaście lat i nosiła krótkie sukienki.

(D. e. n.)

